GŁOS KOBIET

10 gr.

Nr. 3. Warszawa, 20 stycznia 1936 r. Rok XXIX

Jedyne pismo kobiet pracujących

Głodomory

Przeżywamy kryzys ustroju kapitalistycznego, który bezlitośnie niszczy miljony rodzin, starych, młodych, dzieci. Szukamy drogi wyjścia z tego piekła udręczeń, braku mieszkań, ubrania, pożywienia.

Dowodzimy, że ustrój socjalistyczny rozwiąże te zagadnienia, stawiając dobro ogółu, jako zadanie naczelne. Interes jednego człowieka, czy warstwy społecznej, musi ustąpić miejsca, kiedy w grę wchodzą interesy miljonów ludzi.

Dzisiejsi włodarze, sami „piją wino", ludności zaś opowiadają, że woda jest najzdrowszym napojem.

Żyją w dostatkach, w zbytkach, a obywatele i obywatelki nawet chleba powszedniego nie mają dla siebie i swoich dzieci.

Cnotą jest — powiadają, poprzestawanie na małem, zaciskanie pasa i znoszenie w pokorze wszystkich „dopustów bożych". Rządy sanacyjne pocieszały siebie i obywateli w swoich przemówieniach, że właśnie ten brak potrzeb, niski poziom życiowy, pomoże do przetrwania okresu kryzysu i „lepsze czasy" spadną na Polskę, jak manna na pustyni, na głodujących żydów.

Jeżeli porównamy spożycie ludności w Polsce ze spożyciem ludności Niemiec, przekonamy się, w jakiej nędzy żyją miljony obywateli.

Na głowę ludności w stosunku rocznym spożywają w Niemczech 232 kg. cukru, w Polsce 9,8 kg. Polski cukier wywozi się do Anglji i sprzedaje po 7 gr. za kg.... a my płacimy, już po zniżonej cenie, 1 zł. za kg.

W Niemczech na głowę ludności wypada 2000 kg. węgla, na Kresach wschodnich wypada 52 kg. a przeciętna na ludność całej Polski dochodzi do 555 kg.

Znane pokłady węgla, według obliczeń geologów, wystarczą na 2 tysiące lat, a ludność męczy się w nieopalonych mieszkaniach. Przy wielkich mrozach, na ulicach miast „ojcowie", prezydenci, czy burmistrze, każą palić kosze z koksem, żeby nieszczęśliwi bezdomni, mogli ogrzać się przy takiem ognisku, bo o OGNISKU DOMOWEM, tak zachwalanem jako najważniejsza i podstawowa komórka życia rodzinnego, ani marzyć nie mogą.

Prąd elektryczny w Niemczech na głowę wypada 404 kwt, a w Polsce zaledwie 79 kwt, a więc piątą część spożycia niemieckiego. Bo ludność pracująca w miastach nie ma w mieszkaniach elektryczności, zadawala się oświetleniem naftowem, a często marnym kagankiem.

Ludność wiejską nie stać nietylko na elektryczność, ale i nafta należy do artykułów zbytku, to też chłopi nie świecą, albo poprzestają na łuczywie, a jedną zapałkę dzielą na kilka części. Kiedy w Niemczech wypada 55 kg. nafty na jednego mieszkańca, chociaż oświetlenie naftą należy do wyjątków, nietylko w miastach, ale i na wsi, to w Polsce zaledwie 9.7 kg.

Pszenicy zjada Niemiec 75 kg., a mieszkaniec Polski 51 kg.

Jeszcze gorzej wypadnie porównanie z Kresami Wschodniemi, gdzie poziom życiowy stoi na najniższym szczeblu.

Zanik potrzeb, powrót do stanu pierwotnego, powoduje właśnie katastrofalne położenie, z którego nie ma wyjścia i żaden cud nie odwróci tego nieszczęścia. Należy całą gospodarkę społeczną przesunąć na inny tor. Należy ludności dać pracę i dobre zarobki celem ożywienia rynku wewnętrznego, bo dopiero zarabiający chłopi i robotnicy mogą kupować to wszystko, co produkują fabryki, kopalnie czy warsztaty przemysłowe i gospodarstwa rolne.

Polska zajmuje ostatnie miejsce między państwami Europy, tak pod względem zarobków, jak i spożycia.

Nie wystarcza miljonom obywateli, że nieznaczny procent uprzywilejowanych żyje na najwyższym poziomie.

Toczy się walka na całym froncie pracy, tak w miastach jak i na wsi, o NOWY ŁAD SPOŁECZNY, o chleb i ludzkie warunki bytu, dla „soli ziemi", dla ludu. I ci od maszyn, i ci od pługa, i ci, co pracują mózgiem, wołają wielkim głosem: Nie chcemy być głodomorami.

Hasło sanacyjne o zaciskaniu pasa doprowadziło do katastrofy, to stwierdził minister Kwiatkowski.

D. KŁUSZYŃSKA.



Baba z wozu...

Jak zwalczyć kryzys? Jak zapobiec bezrobociu? Przywrócić dobrobyt wynędzniałym rodzinom. Pytanie zdawałoby się trudne, — a tymczasem, jakże prosto je rozstrzyga nasza domorosła polityka społeczna.

Zagadnienia trudne? Ale skądże? Popatrzcie proszę....

— Poprostu trzeba zredukować pracujące mężatki i wogóle starać się nie dopuścić kobiet do pracy. Niech wracają do domu! Niech się zajmą gospodarstwem, dziećmi, mężem, a odrazu będzie lepiej. Na opróżnione przez kobiety miejsca wejdą bezrobotni mężczyźni i — koniec z bezrobociem. A im mniej bezrobotnych, tem więcej, oczywista, konsumentów, więc i kryzys poważnie zostanie zachwiany. A przy tem rodzina, rodzina! Święta, nietykalna komórka i podstawa naszego ustroju zostanie wzmocniona przez ciągłą w niej obecność strzegącej kapłanki—kobiety.

Bagatela!

I ktoby to pomyślał, że tyle złego na świecie zdziałać mogła ciężka, często ponad siły praca kobiet. Praca? Uczono nas przecież kiedyś naiwnie i prosto, że praca jest obowiązkiem każdego człowieka. Aż tu naraz... okazała się przywilejem, o który walczą między sobą ludzie, stała się przestępstwem społecznem jeśli chodzi o kobiety.

Tak daleko już zaszliśmy! Do chaosu nonsensów dzisiejszej rzeczywistości dodaliśmy jeszcze jeden, największy — praca jest przywilejem, praca może być przestępstwem.

Oczywiście — praca zarobkowa i to na wyższych szczeblach maszyny społecznej. Bo o fakt, że w fabrykach w czasie ostatniego kryzysowego roku wzrasta ilość pracujących kobiet, a zmniejsza mężczyzn, że tam kobieta, jako pracownik tańszy jest groźnym konkurentem mężczyzny, nie dla tego, że tak CHCE, ale że MUSI, aby utrzymać siebie i rodzinę swoją przy najnędzniejszem życiu, o fakt ten nie troszczą się politycy, uchwalający redukcję mężatek.

Myślą o pracownicach biurowych od stenotypistek w górę, od nauczycielek ludowych wzwyż i roją, że przez zastąpienie ich pracy pracą mężczyzn coś naprawdę zmienią czy poprawią.

Nonsens!

Nic zmniejszą bezrobocia — wymienią tylko bezrobotnych na bezrobotne. Nie przyczynią się w najmniejszym nawet stopniu do zwalczenia kryzysu, wyrwą tylko część pieniędzy z jednych biednych rąk i włożą w inne. Nie przybędzie przez to ani jeden więcej konsument. Bo jest to tak, jakby ktoś przełożył pieniądze z jednej kieszeni do innej i sądził, że jest przez to bogatszy.

Ale najbardziej zaszkodzą rodzinie, jako placówce, w obronie której jakoby stają. Można sobie wyobrazić ile po rozporządzeniu o redukcji mężatek nastąpi separacyj i rozwodów fikcyjnych i faktycznych. Nietrudno przewidzieć, że mnóstwo zamierzonych małżeństw nie dojdzie przez to wcale do skutku. Że nie wzmocni się ani rodziny, ani jej autorytetu.

Ale o to nie troszczą się nasi politycy. Wolą wierzyć przysłowiu — baba z wozu, koniom lżej....

A no, zobaczymy!

Cz. W.

Walczymy o Wolność Człowieka, Prawo Człowieka i Godność Człowieka!

Na froncie walki

Pozdejmowali nareszcie urzędowi zachwalacze różowe okulary i zobaczyli jak w Polsce wygląda życie ludności.

Na wsi nędza okropna, chłopi nie otrzymują ze swoich gospodarstw nawet tyle dochodu, żeby mogli opłacić wszystkie daniny, jak podatki państwowe, gminne, asekurację, raty w bankach, czy u prywatnych lichwiarzy.

Nie kupują oni sprzętu rolniczego, ani ubrań, nie posyłają dzieci do wyższych szkół, bo nie mogą dać im książek, opłacić wpisów, ani ubrać w przepisowe mundury.

W miastach czy osadach ludność walczy o utrzymanie dotychczasowych zarobków w fabrykach, czy kopalniach, bo zachłanni właściciele warsztatów pracy chcieliby obniżyć i tak już głodowe wypłaty.

Na Górnym Śląsku toczą się zacięte boje z kapitalistami, przeważnie obcymi, niemieckimi, amerykańskimi, belgijskimi, francuskimi i t. d., bo oni są właścicielami kopalń, hut, fabryk.

Strajki głodowe, t. zn. polskie strajki, są na porządku dziennym. Robotnicy i robotnice nie opuszczają warsztatów pracy, czy to w podziemiach kopalń, czy w fabrykach, dla uratowania przed zamknięciem, zatopieniem ,czy rozebraniem maszyn.

Na kopalniach „Baśka", „Szczęście Luizy", „Grodziec", „Godula", „Gothard", „Paryż", „Litandra", czy w hutach „Guidetto", „Batory", czy w papierniach — bronią się robotnicy przed redukcjami, przed widmem głodu swych rodzin.

Przez szereg dni na kopalni „Baśka" siedzieli górnicy w podziemiach bez światła, a woda sięgała im do pasa.

Głodni i przemoczeni trwali jednak w walce, a rodziny ich, żony, dzieci, przed bramą czekały na wiadomości z kopalni. Wynoszono często na noszach chorych, rzucały się kobiety, żeby rozpoznać, czy to mąż, syn, czy brat.

W połowie grudnia wybuchł strajk na kopalni „Eminencja" pod Katowicami, jako protest przeciwko redukcji 240 robotników.

W strajku wzięła udział załoga, nie wyłączając kilkudziesięciu kobiet, pomimo, że otrzymały od rady zakładowej zezwolenie na przerwanie strajku. Dotrzymały solidarności, chociaż zostawiły drobne dzieci. Wiedziały, że sąsiadki zaopiekują się niemi. Żony strajkujących górników brały żywy udział w akcji. Przemawiały na konferencji C. Związku Górników, udały się w delegacji do Województwa.

Strajkujący otrzymali listowną gwarancję, że nikt nie zostanie zredukowany.

Toczy się więc bój zacięty, pełen bohaterstwa, o dobro społeczne, o warsztaty pracy, zagrożone przez prywatnych właścicieli, dla których jedyną racją jest zysk.

Interesy życiowe tysięcy robotników i ich rodzin nie wchodzą w rachubę. Jeżeli nie mogą inkasować dochodów i to wielkich dochodów, uciekają z placu, żeby w innym kraju szukać zarobków z pracy robotników, w innej, dobrej dla nich konjunkturze.

W.

Na wolności

Więzienia w Polsce były tak dalece przepełnione, że zapadały wyroki z zawieszeniem wykonania kary; nie było żadnej możliwości ulokowania nowych skazańców.

Przestępcy kryzysowi! Ofiary bezrobocia, bezdomności, nędzy ostatecznej, skazani na kilka miesięcy, tacy, którzy nie umieli się obronić, nie umieli przekonać sędziów, że nalczy karać rękę, a nie ślepy miecz, ludzie, którzy ryzykowali życie, żeby zdobyć kilka brył węgla, albo bochenek chleba, czy trochę kartofli dla głodujących dzieci, czy chorych rodziców.

To jedna kategorja przestępców. Ale oprócz tych nieszczęśliwców, są ludzie, którzy znaleźli się za kratami, bo nie mogli milcząco i obojętnie patrzeć na wołającą o zadośćuczynienie krzywdę nietylko własnej rodziny, ale tysięcy i tysięcy braci i sióstr, towarzyszy niedoli. Nie zdobywali oni węgla, chleba, czy kartofli, mieli inne umiłowania, inne ideały. To więźniowie polityczni, skazani na długoletnie więzienie, ciężkie kary, za swoją wiarę w sprawiedliwość społeczną dla wszystkich i chęć przyśpieszenia tej nowej ery.

Dla nich nie zaświtał dzień wyzwolenia, zostali za kratami....

Ustawa o amnestji objęła do 20 tysięcy, mężczyzn i kobiet. Ogromna większość, to ludzie, którzyby w normalnych warunkach nigdy nie znaleźli się w więzieniu, i miano „przestępcy" niezasłużenie do nich przylgnęło.

Teraz chcieliby wrócić „do życia", wyciągając ręce po pracę, po zarobek, bo właśnie brak środków do życia zaprowadził ich do więzienia.

Co czeka tych ludzi na wolności? To pytanie staje przed władzami, staje przed społeczeństwem. Przerzucenie całej troski o dalsze koleje życia na uwolnionych byłoby grzechem i błędem. Należy dać im pomoc w wyszukaniu pracy, inaczej staną znowu na rozstajnych drogach, i znajdą się na sali sądowej i zapadną wyroki i zaludnią się więzienia, wczoraj opróżnione.

Nie są one przyjemnemi domami, nikt nie tęskni, żeby znaleść się za kratami. Jeżeli jednak rosną zastępy więźniów politycznych, kryzysowych i pospolitych zbrodniarzy, to działają poważne, głębokie przyczyny, których nawet najsurowsze wyroki nie usuną.

Pokłosie gruźlicy

Gruźlicę nazywają chorobą proletarjatu, ludzi biednych, źle odżywionych, mieszkających w ciemnych, wilgotnych, ciasnych izbach, pracujących w złych warunkach, w dymie, wysokiej temperaturze, w kurzu.

Chorują na gruźlicę mieszkańcy miast jak i wsi, bo i ludność wiejska odżywia się niedostatecznie i mieszka nie lepiej jak w miastach.

Gruźlica jest chorobą trwającą kilka lat i tylko w wyjątkowych wypadkach chorzy umierają w ciągu kilku tygodni czy miesięcy. Kilka lat kaszle, pluje, gorączkuje nieszczęśliwy człowiek, starszy, młodszy, czy dziecko, nim dokona się zupełny rozkład płuc, gardła, nosa czy kości.

Gruźlica jest zaraźliwa i tylko bardzo wielka odporność a nawet odosobnienie chorych zapobiega rozszerzaniu się tej strasznej choroby. Organizuje się tygodnie zbiórek dla walki z gruźlicą. Nie można zaprzeczyć, że stacje przeciwgruźlicze, poradnie, ośrodki zdrowia prowadzą wytężoną walkę z tym wrogiem strasznym, siejącym spustoszenie wśród miljonów.

Nie można jednak przeprowadzić skutecznej walki, dopóki nie przestaną działać przyczyny, które powodują tę straszną chorobę.

Miljony ludzi cierpi głód, dla dzieci nie mają matki nawet chleba powszedniego, a przecież brak potrzebnego pożywienia jak mleka, jaj, masła, wyczerpuje organizm i ułatwia bakcylom gruźlicy niszczycielską pracę.

Miljon ludzi chorych na gruźlicę to cyfry urzędowe, stwierdzające jak straszne ofiary pochłania okres bezrobocia.

Bieda rodzi gruźlicę, a prawdziwa i owocna walka z tą chorobą, to podniesienie dobrobytu, przez pracę dla miljonów, wysokie zarobki, budowanie jasnych i przestronnych mieszkań, dostateczną opiekę lekarską.

Tej przemiany nie dokona nikt inny, jak tylko świadomi swojej krzywdy miljony obywateli i obywatelek Polski.

Miljon gruźlików to także akt oskarżenia, jakże wymowny i jak przekonywujący.

Walka z gruźlicą to walka z przyczynami, które powodują gruźlicę.

Ciesz się, narodzie!

W wieczór sylwestrowy żegna się stary rok i wita nowy rok.

Szumiało w głowach żegnających i witających, tańczono do białego rana.

Lokale rozrywkowe, restauracje, kawiarnie i cukiernie, bary i zwyczajne szynki były przepełnione publicznością. Szaleli ludziska, jedni z radości, że im dobrze na świecie, że nie grozi im utrata dochodów, inni, bo nie mają wiele albo nic do stracenia.

W 600 lokalach w Warszawie, wypito przeszło 60 tysięcy litrów alkoholu. Ile w domach prywatnych, w klubach na salach tańców! Nie będzie więc żadnej przesady, że w Warszawie wypito 100 tysięcy litrów wódki, wina, piwa, likierów, szampana. Ale przedewszystkiem wódki; czysta wyborowa święciła tryumfy.

Ciesz się, narodzie! Wierzymy, że w całej Polsce „godnie" obchodzono Sylwestra. Nie pomyślano o bezdomnych, o głodnych, którzy „przez szybę" uczestniczyli w zabawie. Podziwiali piękne panie i wyfraczonych panów. Zapachy wspaniałych potraw, pieczonych, smażonych, łechtały podniebienia. 100 tysięcy litrów alkoholu wypito w Warszawie w roku najcięższego kryzysu.

Żebranina

Dziesiątki tysięcy dzieci pozbawionych podstawowych warunków do korzystania z nauki uczęszcza do szkół.

Przedewszystkiem dzieci przychodzą do szkoły głodne, niedostatecznie ubrane, często brudne, bez książek i kajetów.

Szkoły organizują pomoc dla uczniów przez zbiórki po domach śniadań i pieniędzy. Uwaga dzieci skupia się przedewszystkiem na zagadnieniach, czy otrzymają śniadanie, obiad, względnie pomoc w książkach, ubraniach i t. d. Dzieci, które otrzymują wsparcie, to niższa kategorja i to uczucie niższości i zależności jest czynnikiem bardzo niekorzystnym w kształtowaniu się charakterów wychowanków...

Nauczycielstwo nakłada na dzieci i rodziców lepiej zarabiających podatek, ściągany z całą bezwzględnością, co nie przyczynia się do przyjacielskich stosunków między wychowawcami i domem.

Dzieci bezrobotnych to specjalna kategorja uczącej się dziatwy i młodzieży, nastawiona na żebraninę, i przyzwyczajająca się z tego źródła czerpać jak najwięcej.

Widzimy więc, jakie spustoszenie w duszach dzieci — i tych obdarzonych i tych co dają — sieje kryzys. Właściwie nie może być mowy o demokratyzmie w szkole, bo dzieci rodziców zamożnych, a nawet mających pracę, czują swoją wyższość i zależność tych drugich. To już nie jest ofiarność, to jest żebranina, którą uprawia się masowo, co działa demoralizująco.

„Napoleonki"

Przeszła do historji niepospolita zdolność Napoleona do jednoczesnego wykonywania kilku czynności: — Napoleon potrafił ponoć w tej samej chwili czytać, rozmawiać, układać marszrutę wojsk, dyktować adjutantowi rozkazy i t. p.

Każda kobieta, mająca na swej głowie dom, dzieci, męża, tembardziej zaś taka, która nie rezygnuje z życia umysłowego, jednoczy w sobie podobny genjusz.

Przypatrzmy się tylko, ile czynności odpowiedzialnych musi spełniać jednocześnie. Rankiem pędzi do sklepiku po pieczywo, śpieszy się, bo w domu postawiła już kawę na ogniu, żeby nie wyleciała. Przybiega zdyszana — kawa na szczęście jeszcze nie kipi, zerka na nią jednem okiem, zaściela tymczasem łóżko i obmyśla dalszy plan działania: zacząć pranie popołudzie, czy jutro raniutko, zanim się wszyscy pobudzą?.. Odstawia kawę, nalewa w garnuszki, szykuje chłopakom chleb na teraz i do szkoły, zawija sutsze śniadanie dla „starego" do fabryki. Nie wydążyła jeszcze, a tu już budzi się najmłodsze, drze się w niebogłosy. Trzeba to najsampierw wysadzić, bo zmoczy pościel. Jednocześnie przepytuje chłopaka z czytania, bo kulawo mu to idzie w szkole, pani zwraca uwagę, żeby codzień czytał nagłos. Teraz trzeba nakarmić pędraka, ale i zareperować skarpetkę starszemu chłopakowi; wieczorem była na zebraniu opieki szkolnej, to nie wydążyła. Siedzi więc ta napoleońska kobieta, karmi niemowlę, ceruje wielką, niczem młyńskie koło, dziurę w skarpetce syna i słucha sylabizowania drugiego chłopaka, a po głowie turkocze natarczywa myśl: tych wczorajszych kartofli będzie za mało na kluski, może pokrajać i wrzucić do zalewajki?

I tak będzie się kołatała, rozrywała na dwoje, troje, dziesięcioro do późnej nocy ta niewolnica nadmiernej, niedogodnej, niezorganizowanej pracy domowej. Tak żyją tysiące kobiet w ustawicznym pośpiechu, łącząc genjalnie w jednej osobie funkcje kucharki, sprzątaczki, niańki, szwaczki, pomysłowego ministra finansów, praczki i nauczycielki, lekarki i pomywaczki. Ileż to wysiłku nerwów i mięśni trzeba dla podołania tym wszechstronnym obowiązkom administratorki maszyny domowej, dla ogarnięcia swą opieką męża, dzieci, dla dzielenia troski i radości wszystkich domowników.

A sprawa pogarsza się tysiąckrotnie, o ile kobieta zajmuje się pracą zarobkową. Po całym dniu pracy poza domem, ma jeszcze do wypełnienia punkt po punkcie niekończący się nigdy porządek trudnego dnia pracy domowej.

Olbrzymie są zastępy kobiet obciążonych pracą Napoleonek, których zdolności do kojarzenia setek funkcyj nikt nie ocenia. Nawet najbliższe otoczenie, cóż dopiero społeczeństwo.

Dopiero, gdy na marginesie tych zabójczych przez swą wielorodność funkcyj kobieta zdoła zająć się pracą społeczną, naukową lub sztuką — istnienie jej dociera do świadomości świata i zapisuje się widomemi zgłoskami w jego dziejach.

Napoleonki! wyzwalajcie się z tych pęt genjuszu. Starajcie się zreorganizować w ten sposób życie domowe, by ten „margines" stać się mógł możliwie najszerszy.

Bardzo cieszyłabym się, gdyby nasze czytelniczki wypowiedziały się w tej sprawie, to znaczy opowiedziały, jak sobie to przyszłe wyzwolenie wyobrażają.

N. Z.

Radźmy sobie sam

Rozwijanie zrozumienia idei spółdzielczej wśród kobiet, pozyskanie ich do czynnej współpracy w ruchu spółdzielczym oraz doskonalenie gospodarstw domowych, jako podstawowych komórek spółdzielczości osiągnięty przez kształcenie kobiet społecznie, spółdzielczo i gospodarczo.

Odciążenie kobiet w pracy domowej przez stosowanie wynalazków, udoskonaleń technicznych, da nam budownictwo spółdzielcze jak Warszawska Spółdzielnia Mieszkaniowa, na Żoliborzu, Rakowcu.

Najnieszczęśliwsze z nieszczęśliwych

Dwie młode dziewczyny, liczące zaledwie 23 lata, popełniły samobójstwo.

Helena S. i Marja N., dziewczyny uliczne, pod wpływem swego zawodu wpadły w depresję psychiczną i wypiły znaczną dozę esencji octowej, żeby położyć kres okropnemu życiu. W stanie beznadziejnym przewieziono je do szpitala.

Łączyła dziewczyny zażyła przyjaźń, mieszkały w jednym domu.

Taką krótką notatkę podały dzienniki, i nie ostatnią. Takich nieszczęśliwych dziewcząt, które nie mogą wytrzymać „psiego życia", jest tysiące. Wyrzucone za nawias życia, skazane na sprzedawanie „miłości", na pogardę kupujących tę miłość, na nienawiść otoczenia, często na głód, doprowadzone do ostatecznej rozpaczy, połykają agrafki, kaleczą się, żeby dostać się do szpitala, żeby uciec od strasznego zarobku.

Obławy na tę zwierzynę, dziewczęta uliczne, pakowane do wozu podobnego do budy na psy, są dostateczną ilustracją ogromu nieszczęścia tych kobiet.

Śmierć jest dla nich ucieczką, wybawieniem, bo niczego spodziewać się nie mogą; ani prawdziwej miłości, ani szczęścia rodzinnego, a możliwość pracy dla nich nie istnieje.

W Sowietach, przewodniczący zebrania w profilaktorjach, instytucjach, w których się nietylko leczy ale i uczy i uświadamia kobiety - prostytutki, powiedział do słuchaczek:

„Nie ukrywajcie niczego, towarzyszki, to nie wstyd, to nie nieszczęście". Tak to najstraszniejsze nieszczęście, znaleźć się na ulicy, wydaną na niełaskę złych ludzi. Często jest to młoda, bo 15 czy 16 letnia dziewczyna — dziecko. Nie ma dla niej litości, nie ma żadnych względów, skazana jest na zagładę moralną, na straszne choroby.

Rosną zastępy kobiet, sprzedających swoje ciało, bo rośnie liczba bezrobotnych młodych dziewcząt. Głód jest najgorszym doradcą i za kilka groszy, niejedna dziewczyna weszła na śliską drogę, prowadzącą do upadku.

A kobiety zamężne, matki! Jaki jest ich los! Czy małżeństwo chroni je przed nieszczęściem prostytucji? Tomy możnaby napisać, ile kobiet pracujących w biurach czy fabrykach, albo na folwarkach, z obawy przed utratą chleba dla swoich dzieci, „powolnych" jest żądaniom szefów, czy majstrów.

To jest właśnie krzywda kobiet w ustroju kapitalistycznym. Brutalna przewaga mężczyzny nad słabszą i uzależnioną kobietą.

Trzeba szukać drogi, wiele zbadać, wiele spróbować, by tę drogę znaleźć do najszerszych warstw kobiecych, żeby zaszczepić im wiarę i chęć uczestniczenia w budowie nowego ładu społecznego.

Kobiety uliczne, dzieci żebrzące, to najcięższe oskarżenie obowiązujących form życia zbiorowego w świecie kapitalistycznym. Srogie są prawa, twarde sumienia dla biednych, opuszczonych, stojących oko w oko z nędzą.

A przecież nie muszą ludzie żyć w poniewierce, jeżeli uwierzą, że może się odmienić los nie jednostki ale miljonów. K.



Przepełnienie sal szkolnych

Wszystkie gazety nietylko opozycyjne, ale i prorządowe piszą o katastrofie szkolnej. Na czem ona polega, to widać na obrazku: klasy są przepakowane, nauczyciele przemęczeni rady sobie dać nie mogą z dziećmi, a te znów nie korzystają w szkole tyle, ile potrzeba. Najgorzej jednak, że nawet przy takiem pakowaniu dzieci do szkół, jak śledzi do beczek, wiele nie mieści się w nich wcale. W tym roku przeszło miljon dzieci w Polsce nie chodzi do szkoły. Źle jest na wsiach, gdzie nauczyciel miewa po 100 dzieci, a niekiedy nawet 200. Najgorzej jest na kresach wschodnich, gdzie zawsze było dużo analfabetów i liczba ich nie zmniejszy się przy takiem szkolnictwie.

Dlaczego doszliśmy do katastrofy szkolnej? Dzieci co rok przybywa, bo ludność wogóle się powiększa. Były jakiś czas w szkołach dzieci „wojenne" i wtedy był większy luz, bo w czasie wojny mniej się rodziło. Ale od 1928/29 r. do tego roku przybyło przez te 5 lat półtora miljona dzieci. Tymczasem budżet się zmniejsza. Nawet w tym roku wobec katastrofy szkolnej jeszcze jest projekt zmniejszenia wydatków w Ministerstwie Oświaty.

Kto ciekaw tych spraw, a muszą one interesować wszystkich rodziców, mających dzieci w szkołach, niech sobie przeczyta broszurę „Sprawa Szkolna" napisaną przez Wł. Weychert-Szymanowską, a wydaną przez Komitet szkolny towarzystw oświatowo-kulturalnych i związków zawodowych. Broszura kosztuje 15 gr. Można ją zamawiać w redakcji Głosu Kobiet. Dla organizacyj przy zamówieniach co najmniej 10 egzemplarzy cena 10 gr.

KRAJ BEZ KOBIET

Podług Peter Bolta 2)

Numer 68

Kapitan, dwaj oficerowie oraz kilku stewardów podeszli do kobiet. Gromkim głosem poproszono je o udanie się natychmiast do swych kajut i o pozostanie w nich, dopóki się ich nie wezwie. Wszystkie usłuchały tego rozkazu, i udały się — niby stado owiec — do wnętrza statku. Za niemi szli oficerowie i stewardowie. A gdy były już w swoich kajutach, stewardowie zamknęli je na klucz.

Tymczasem załatwiono wszystkie formalności lądowania. „Hastings" stał spokojnie, umocowany w przystani Fremantle. Ale żaden człowiek nie mógł wejść na pokład i nikt z pokładu również nie mógł zejść na ląd. Pomost był wciągnięty. Na brzegu zaś tłoczyli się ciekawi, wyczekując i głośno krzycząc i gestykulując.

W poczekalni siedział kapitan z dwoma oficerami, skarbnikiem i obu lekarzami. Na stole leżał rejestr i papiery okrętowe.

— Zamiast 413, — rzucił kapitan zapalając papierosa, — mamy tylko 412. Z powodu tej jednej, która umarła, możemy mieć dużo przykrości. Musimy tę sprawę jeszcze zawczasu na okręcie załatwić. Mam tu 413 numerów w tem pudełku.

Zwrócił się do naczelnego stewarda:

— Mr. Smith, proszę z tego pudełka wyciągnąć kartkę!

Naczelny steward wyciągnął złożoną kartkę.

Kapitan rozłożył ją i rzekł: — Numer 68.

Kobiety zaś tymczasem siedziały w swych kajutach po cztery albo nawet po sześć. Nie wiedziały dlaczego kazano im zejść w ostatniej chwili, ale sądziły, że należy to do formalności przy lądowaniu i że trzeba czekać, aż przyjdzie na nie kolej.

Zamknięte w swych kajutach Angielki prawie z sobą nie rozmawiały, siedząc na swych łóżkach wśród kufrów i tłumoków, w kapeluszach i rękawiczkach, w oczekiwaniu tego, co się stać miało. Anglja, owa mglista ojczyzna, była tak daleko, bardzo daleko. Przed niemi wielka nieznana przyszłość, a pośrodku ten okręt, ta ostatnia cząstka angielskiej ziemi. Dobrze było na okręcie, gdzie o nie dbano. Kto jutro będzie się o nie troszczył? Gdzie będą jutro? Jak się im będzie jutro powodziło? Żadna tego nie wiedziała.

Przez otwarte luki słyszały gwar na przystani. Co za ludzie tam są? Jak wyglądają? Jakim językiem mówią? W jaki sposób przemawiają? Jak są ubrani? Hałas i gwar do nich dochodzący nie dawał im na te pytania żadnej odpowiedzi. Dopóki tu są na okręcie, wszystko pozostawało pytaniem. Odpowiedź przyjdzie dopiero później stamtąd, gdzie po przestąpieniu pomostu leży ten kraj zgoła nieznany.

— Numer 68, — powtórzył kapitan, — panie Stewardzie, proszę wziąć spis B i zobaczyć, kto jest wpisany pod tym numerem.

Steward przejrzał, sprawdził i po chwili rzucił:

— Numer 68 — Sim Ashton, telegrafista w Parth.

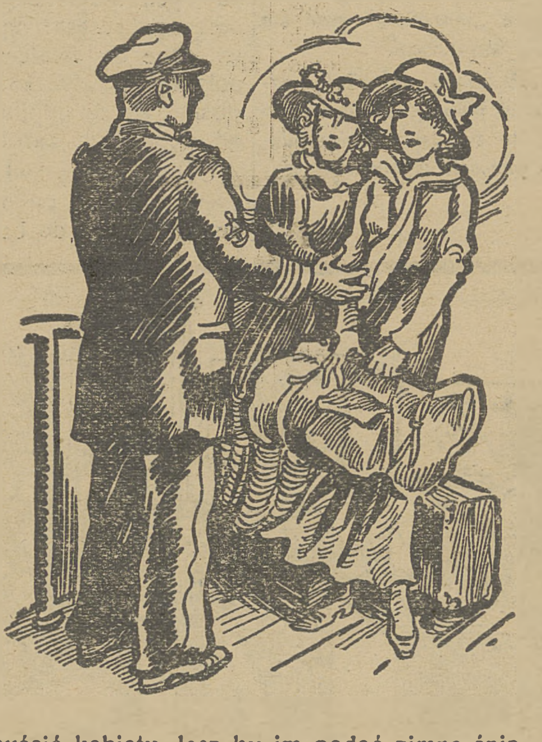
— Allright, — wyrzekł kapitan, — wykreśli pan Sima Ashtona z numeru 68 i wpisze go pan na ostatnie miejsce pod numerem 413. Na spisie kobiet był to numer umarłej, nieprawdaż? Kto wpisany jest pod numerem 413 na spisie mężczyzn?

— Stave Parker poszukiwacz złota w Coolgardie.

— Stave Parker pójdzie na miejsce Sima Ashtona pod numer 68.

— Allright, kapitanie.

W godzinę później stewardowie pukali do kajut, przekręcali klucze w zamkach i otwierali drzwi. Wszakże nie w tym celu, żeby wypuścić kobiety, lecz by im podać zimne śniadanie. Na widok półmisków i butelek, przygnębienie kobiet trochę ustąpiło. I gdy stewardowie się oddalili po ponownem zamknięciu drzwi na klucz, rozlegał się tylko śmiech oraz brzęk talerzy i szklanek. Wszystkie były znowu wesołe i pełne nadziei.



Kraj bez kobiet

Mniej więcej na sześć miesięcy przed przybyciem „Hastingsa" do Fremantle, w pismach angielskich ukazało się pierwsze wezwanie do kobiet i dziewcząt, zachęcając je do przesiedlania się do Australji Zachodniej. Wezwanie to pochodziło od rządu australijskiego i podpisane było przez sir Malcolma Frasera, agenta generalnego tej kolonji. W wezwaniu tem przedstawiono ówczesny stan tej kolonji, oraz krótki opis warunków życia. Szczególny nacisk kładziono w niem z jednej strony na olbrzymie pokłady złota w tym kraju, a z drugiej na wyjątkowy w nim brak kobiet, ponieważ ilość ich wynosi zaledwie czwartą część ilości mężczyzn. Ażeby wyrównać ten stosunek, rząd australijski, w porozumieniu z rządem Jej Królewskiej Mości, postanowił na swój koszt specjalnym statkiem sprowadzić odpowiednią ilość Angielek. Oczywiście w Australji oczekiwać będzie na nie odpowiednia ilość kandydatów do małżeństwa, którzy je natychmiast po przybyciu okrętu poślubią. Władze australijskie gwarantowały, że tylko ludzie bez zarzutu, pracowici, trzeźwi, zdrowi i materjalnie zabezpieczeni, będą wybrani na kandydatów i że żadna kobieta nie pozostanie bez męża.

Wezwanie wywarło skutek nadzwyczajny. Zapisała się ogromna ilość kobiet i dziewcząt ze wszystkich hrabstw Zjednoczonego Królestwa. Każdy wiek od lat piętnastu do 69 był reprezentowany, jak również i wszelki zawód. Od żebraczki do arystokratki, od chłopki do artystki scenicznej, od młodej niewinnej dziewczyny do wielokrotnie karanej zbrodniarki: wszystkie tam były. Lekkomyślność, pragnienie przygód i rezygnacja były ich główną pobudką, szukanie szczęścia i złota, głównym celem. Wśród tych licznych aspirantek były także i idealistki, takie, które chciały się poświęcić, a także i rzetelne, pracowite, gorliwe kobiety, szukające pola do pracy i świadome swojej wartości. Wszystkie tam były: złe i dobre, brzydkie i piękne, uczciwe i oszustki, szczere, zamknięte w sobie i przebiegłe.

Piekielną robotą było wybieranie najstosowniejszych z pośród tysięcy kandydatek. Należało o wybranych zebrać referencje i informacje, zbadać je przez lekarzy i zaopatrzyć na drogę. Wśród nich były i takie, co literalnie nie posiadały nic, prócz tego, co miały na sobie. Tym, na koszt kolonji sprawiono skromną wyprawę, ażeby nie potrzebowały wstydzić się przed swymi przyszłymi mężami.

Z pomiędzy siedmiu tysięcy kobiet, które się zgłosiły, można było w ten sposób wybrać 413. Ale te wybrane, miały — według ludzkich pojęć — wszelkie warunki dla dobrego pożycia małżeńskiego. Były wszystkie skromnych wymagań, wiedziały, że wszystko zawdzięczać będą nieznanemu przypadkowi i nie robiły sobie przesadnych nadziei.

Grały poprostu w wielki hazard życia. Ta gra lub inna, ta kwota czy owa, było to wszakże wszystko jedno. Na każdą można wygrać albo też przegrać. Tutaj przynajmniej dawano im tę kartę i pozwolono grać. Miały pewną szansę i mogły też wygrać. W życiu szansy tej nie miały, i życie dotąd nie dało im żadnej karty, na którąby stawiać mogły. Teraz wreszcie miały kartę i chciały grać i stawiać mogły. Wszystko na tę kartę postawić: swe życie, swą młodość i swe szczęście.

Pożegnalna uczta na statku

Sir Malcolm Fraser, agent generalny na Australję Zachodnią, wieczorem dnia 6-go lipca roku 1899, stał na honorowem miejscu przy stole w dużej, świątecznie oświetlonej jadalni „Hastingsa". Obok niego siedziała lady Fraser w bardzo skromnej sukni. Miejsce przy niej zajmował kapitan „Hastingsa". Czterysta trzynaście kobiet siedziało przy sobie wzdłuż stołu, wszystkie miały ciemno pąsowe goździki i bławatki we włosach i na piersiach.

Sir Malcolm wyrzekł właśnie ostatnie słowa swej przemowy. Radosne głośne okrzyki rozległy się z ust kobiecych, 413 par rąk zgodnie klaskało, policzki się zarumieniły, gdy zadzwoniły kielichy. Następnie podniósł się komendant i wygłosił parę słów: dziękował sir Malcolmowi i lady Fraser za zaszczyt, jaki uczynili, przybywając na ucztę pożegnalną. Poczem komendant ślubował, że cenny ładunek swego okrętu dowiezie cało na miejsce przeznaczenia.

Tymczasem Ance w przędzalni wiedzie się coraz gorzej.

— Głupia — mówią dziewczęta. Pewnie, że głupia. Ale zacięła się i już. Nie i nie.

W sobotę przy wypłacie:—Wytrącone. Znowu na pięćdziesięciu szpulkach zerwane nici.

Schyla głowę. Wiadomo, nie dowiedzie, szkoda sobie gardło psuć.

I znów — uszkodzenie. Przez trzy godziny stoi bezczynnie, kiedy mechanik coś tam dłubie w trybkach. Kara. W sobotę, kiedy strącą, niewiele co zostanie.

Pan majster czeka przy wyjściu.

— No i co? Namyśliłaś się już?

Przechodzi z podniesioną wysoko głową, z zaciśniętemi ustami.

— Hrabina! — leci za nią gniewny syk.

Gieńka z pakowni nie może się nadziwić.

— Wylecisz, mówię ci, że wylecisz. A potem to on się nie zgodzi —

— A niech wylecę —

— Głupia, gdzie ty teraz robotę znajdziesz? Inna, toby panu Bogu dziękowała, że jej się tak wydarzyło.

— Ja nie.

— To też mówię, żeś głupia. Pomyśl sobie, jakby ci było! Robićbyś mogła tylko tak, dla oka. Ani kar, ani nijakich strąceń — mówi rozmarzona Gieńka.

— Nie chcę.

— No i co? dużoś zarobiła przez te parę tygodni? przecie widzę, jak ci wypłacają!

To wszystko prawda. Ale im bardziej namawiają, im bardziej wścieka się majster, tem bardziej zacina się Anka.

— I o co ci się rozchodzi? Przecie Janowa mężatka, strach boski, coby było, jakby się chłop dowiedział, a chodziła do niego. Teraz robota na ulicy nie leży. Co ci to — pójdziesz parę razy, nową sobie upatrzy i spokój — a potem już i przy robocie lżej będziesz miała —

Przychodzi. Staje zboku i patrzy. Ręce dygocą, nie chcą się wiązać uparte nitki, wyślizgują się z palców. Szumi w uszach, bije w nich maleńkim młoteczkiem bezsilny gniew. Jak jaszczurki pełzają natrętne oczy.

— Jak to wiążesz? to jest robota? przypatrz że się, znowu zerwane —

— Prędzej, prędzej, ruszaj się jakoś! Jak to lezie —

— Gdzież się gapisz? Nie widzisz tam, w drugim rzędzie?

Anka już nie widzi wogóle nic. Miota się jak nieprzytomna między długiemi rzędami szpul, wszystko leci z rąk. Mgła rozpaczy przysłania źrenice. Wtedy bliżej. Na karku gorący oddech.

— No i poco ci to? Cóż się tak upierasz? Przyjdziesz?

Z rozpaczą kiwa przecząco głową.

— Anka!

— Nie —

— Opamiętaj ty się, namyśl, ostatni raz po dobroci mówię! Kogóż ty takiego masz?

Ale Anka nikogo nie ma. Majster nie może uwierzyć. Szpieguje. Wypatruje uważnie, czy z kim nie rozmawia, z kim wychodzi, czy jej kto nie odprowadza rano do roboty. Mało mu tego. Wlecze się za nią aż pod dom, spotyka jego czerwoną, świecącą twarz, idąc do sklepu, wstępując do koleżanki, wszędzie. To go rozjada jeszcze bardziej.

— Wylecisz, jak mi Bóg miły, wylecisz, pamiętaj sobie! Majster ci się nie podoba, ale wtedy każdy będzie dobry, choć za kromkę chleba! Źleś ty sobie wybrała, ze mną zadzierać! Nie takie tu bywały!

W każdą sobotę Anka czeka ze drżeniem serca, co powiedzą. W domu nic nie mówi, bo ojciec prędki, niewiele mu potrzeba, a jaki potem koniec, dobrze wiadomo. Kryminał i już. Lepiej przemilczeć. Ale może się i skąd dowiedzieli, jak to ludzie, niepotrzebnie lubią chlapnąć, bo ojciec nic się nie odzywa, ale już dwa razy po nią pod fabrykę przyszedł i czasem tak się przejmująco popatrzy, że aż strach przejmie.

— Anka! do dyżurki majster woła!

Cierpnie od stóp do głowy. Nie pójdzie, za skarby świata nie pójdzie. — Nogi jakby wrosły w podłogę.

Ale znów drugi raz: — Anka, prędzej!

Idzie powoli, cała drętwiejąc. Staje w otwartych drzwiach. Nie ruszy się, za skarby świata nie ruszy się przez próg. Tak, drzwi otwarte, wszystko widać z sali.

Ale majster wstaje od stołu, pociąga dalej i zamyka drzwi. Przekręca klucz.

Niewydany krzyk zamiera w gardle.

— No, namyśliłaś się?

Głos jest złowrogo słodki. Zdaleka zalatuje Ankę słaby zapach alkoholu.

— Nie bądź głupia —

Ale Anka właśnie jest głupia. Całą siłą wydziera się z grubych ramion. Wali naoślep w tłusty, świecący pysk. Drapie pazurami po twarzy, po rękach, gdzie popadnie.

Na nic. Wtedy z całego gardła przeraźliwy, rozgłośny krzyk. Aż się sama wzdryga.

Majster odskakuje jak oparzony. Na czole krople potu, krew wąziutkiemi strumyczkami sączy się z zadrapań na policzkach i czole. Rozerwany w czasie szamotania kołnierzyk. Oczy nabiegły krwią jak u rozszalałego byka. Latającemi rękami prędko odmyka drzwi.

— Won! do maszyny.

Anka staje przy swoich szpulkach. Mdli ją, nogi chwieją się bezsilnie. Z nad sąsiednich maszyn spoglądają ku niej z pod oka, nie śmiejąc się zapytać. No i w sobotę — wiadomo. Czternastka.

(wyjątek z „Oblicza dnia").

Błogosławieństwo boże

(Ze wspomnień lekarza)

Zostałem lekarzem proletarjatu, aby go zbuntować i mobilizować do walki przeciw brakowi kultury w ustroju kapitalistycznym. Chciałem znaleźć w proletarjacie towarzyszy do walki z drobnomieszczaństwem, do walki o prawdziwą kulturę, o kulturę mas. I niewątpliwie byli tacy, co mnie rozumieli.

Ale przedewszystkiem zobaczyłem nędzę, wobec której ogarnął mnie gniew na całe to społeczeństwo bezbronnych robaków.

Wzywali mię ludzie, którzy się nie bali lekarza socjalisty i ludzie, którym się źle wiodło w życiu. Wszyscy mieli bardzo wiele dzieci. Biegały one po ulicy zasmarkane, brudne, w samych tylko koszulinach, rachityczne, z krzywemi cienkiemi nóżkami, z wyrzutami na ciele. Pomiędzy rodzeństwem bywało zaledwie 11 miesięcy różnicy. Przypominam sobie zabawną scenę. Jakiś tuzin takich małych robaków szedł gęsiego z chorągiewką z chustki na drążku i śpiewał: „Co rok dwoje dzieci — jedno w zimie, drugie w lecie".

Prawie tak właśnie bywało u wielu proletarjuszy. Że te istoty nie mogły mieć doskonałego ciała, ani duszy — to się rozumie samo przez się.

Ileż ja widziałem niemowląt umierających. Żadna sztuka lekarska nie mogła uratować tych źle zrodzonych i źle pielęgnowanych. Matki ani nie umiały obchodzić się z dziećmi, ani nie miały potemu środków. Niekiedy pragnąłem z głębi duszy, aby takie chorowite biedactwo umarło, zamiast żyć i być źródłem nieszczęścia dla siebie i innych. Serce się ściskało, gdy się znów zobaczyło wielki brzuch brzemiennej kobiety, która miała już pół tuzina rachitycznych i skrofulicznych dzieci i męża, zarabiającego tak mało, że bez opieki publicznej rodzina wyżyćby nie mogła. Jakież dziecko urodzi taka wygłodzona i wymęczona kobieta? Czy to będzie pełny człowiek?

Takie myśli napastowały mię ciągle.

Najstraszniejsze były wieczory zimowe. Nie palono światła przez oszczędność i nawet tam, gdzie było więcej izb, wszyscy gnieździli się w jednej, aby nie palić w piecach i leżeli w jednem lub dwu łóżkach. Zdarzało się, że matka rodziła w takiej izbie, zapchanej dziećmi, na łóżku bez prześcieradła. Ileż razy to przeżywałem! Ile razy wywiązywała się w takich warunkach gorączka połogowa! A jak wyglądał dom w czasie choroby matki takiej gromady. Nie było komu ugotować, ani zaopiekować się dziećmi.

W tej nędzy marniało nietylko ciało, ale i dusza kobiet. Im więcej miały dzieci i trosk, tem stawały się obojętniejsze. Pogrążały się w dewocji i ciemnocie. Z rozpaczy przeklinały mężów razem z ich socjalizmem. Błogosławieństwo boże i jego następstwa jak kamień ciążyły na całej rodzinie, na jej rozwoju duchowym i fizycznym. Sprawa robotnicza nie obchodziła wcale ani męża, ani żony. Nędza była tak wielka, że ludzie nie mieli sił, by z nią walczyć. Tu trzeba było przyjść z pomocą i nauczyć matkę, co robić, by nie mieć więcej dzieci.

Kiedy raz poruszyłem tę sprawę mimochodem na zebraniu, cała dyskusja ześrodkowała się koło niej i robotnicy zażądali specjalnego wykładu. Było to w 1901 r. Sala była nabita. Musiałem powtórzyć odczyt naprzód w miastach, potem po wsiach, w całym kantonie, a wreszcie w całej Szwajcarji. Z mojej inicjatywy Związek robotników drzewnych zażądał od Centrali Związków zawodowych założenia publicznej poradni, w której lekarka uświadamiałaby kobiety i rozdawała darmo środki zapobiegawcze. Ale tu zaczęły się sprzeciwy partji i związków zawodowych. Nawet pewien znakomity profesor higjeny, były członek Pierwszej Międzynarodówki, zdeklarowany demokrata, wzdrygał się na myśl o stosowaniu środków zapobiegawczych. Tymczasem mój odczyt wyszedł w broszurze. Cały nakład rozchwytano w ciągu tygodnia. Partja szwajcarska sprzeciwiła się nowym wydaniom. Wydałem broszurę w Monachjum, potem w Berlinie i niebawem wysokość nakładów doszła do pół miljona.

Już w pierwszym roku mojej praktyki wypowiedziała mi wojnę zuryska organizacja akuszerek. Pozatem prokurator wystąpił z oskarżeniem o zgorszenie publiczne i wykonywanie nieprzyzwoitych zabiegów wobec dzieci. Zdarzyło się bowiem, że na odczycie, na którym pokazywałem pesarjum, był ojciec z pięcioletnim synem. Sąd przysięgłych, złożony z chłopów, uwolnił mnie od winy i kary.

Dr. Fryderyk Brupbacher.
z Zurychu.

Jednajcie nowych Czytelników

Towarzyszka „Hetmanica"

W 1926 roku, a więc dziesięć lat temu zmarła, w 67 roku życia towarzyszka Marja Gertruda Paszkowska.

Nazwisko jej nie znajdzie się w księdze żywotów wielkich teoretyków, myślicieli socjalizmu, ale za to najpierwsze miejsce należy jej się w księdze żywotów ludzi serca — ludzi sercem żyjących, sercem gołębiem, wszechobejmującem miłością wszystkich ludzi dobrych, wszelką ideę dobra i sprawiedliwości.

Któż to była towarzyszka Marja? Co robiła? Czem upamiętniła się w sercach i umysłach współczesnych jej działaczy i czemu pamięć Jej nie zginęła wśród młodych?

Musimy zadać sobie trochę trudu i cofnąć się myślą w czasy, gdy cała robota ruchu robotniczego, cała robota propagowania idei socjalistycznej odbywała się drogą całkowicie nielegalną; gdy każdy świstek papieru, zadrukowany czcionkami nielegalnej drukarenki, znaleziony w domu czy w ręku działacza, stawał się przyczyną nieraz bardzo ciężkich przeżyć w więzieniach, na zesłaniach czy w katordze. A przecież ten właśnie świstek papieru, wydrukowany w strasznym trudzie, musiał spełniać i spełniał największą rolę w strasznem życiu ówczesnem, w życiu ówczesnych bojowników wolności — ale ten papierek czy to w postaci zawiadomienia o mającem się odbyć ważnem zebraniu czy konferencji, czy w postaci ulotki wzywającej do walki strajkowej, czy ulotki wzywającej do manifestacji, czy wreszcie w postaci gazety „Robotnika", który mówił o wszystkiem, co się w Polsce, podzielonej wówczas na trzy części, działo, musiał dojść do rąk odbiorcy — czytelnika — tak robotnika fabrycznego, jak inteligenta pracującego, i wszystkich tych, którzy spragnieni byli dobrych wieści o ciągle wzrastającej sile i świadomości mas proletarjatu walczącego.

Na każdy taki papier, na każdym rogu ulicy, w każdej bramie, na każdej stacji kolejowej czyhały legjony, pułki szpiclów, ludzi sprzedajnych, zdrajców, którzy z nienawiścią gnębili wszystko, co dobre i piękne, krwią, przemocą i zdradą.

Polowali na wilki, ale jeszcze srożej polowali na ludzi, którzy te papierki do rąk spragnionych czytelników dostarczali.

I przeciw tym legjonom, przeciw przemocy żandarmskich oprawców, przeciw djabelskiej chytrości ochrany i jej prowokatorow wystąpiła odważnie młoda samotna kobieta.

Marja Paszkowska.

Pochodziła ona z podupadłej rodziny litewskiej, przez życie szła sama, utrzymując się z dawania lekcyj jezyka rosyjskiego, który znała dobrze, bo mieszkała długi czas w głębi Rosji — a nawet była na uniwersytecie w Moskwie, skąd ją wydalono po 15-miesięcznym pobycie w więzieniu.

W Warszawie prócz lekcyj języka rosyjskiego próbowała zająć się akuszerją.

Ale cóż się okazało: oto ta niezłomna kobieta nie mogła być akuszerką, gdyż nie mogła patrzeć na cierpienie ludzkie.

I właśnie ta niewiasta trzymała w swoich dłoniach mocno ster całej techniki partyjnej. Jej zasługą było, że wszelkie druki partyjne docierały do ręki odbiorców dokładnie na czas oznaczony, że wszystkie dzielnice robotnicze były obesłane gazetą, ba — dokonywała cudu, bo oto ściągała zawsze regularnie opłatę za te druki.

Jakże to mogła zrobić sama jedna młoda niewiasta?

Towarzyszka „Hetmanica" nie była sama. Miała ona przy swoim boku całe legjony wykształconych przez siebie tak zwanych „dromaderek" — były to przeważnie młode, oddane sprawie dziewczyny, które na własnych plecach (stąd garby prawdziwie wielbłądzie — „dromaderskie"), bokach i brzuchach wynosiły papiery.

Ciężka była to służba!

Ona jedna rządziła tam w gronie młodych pomocnic, ona sama obmyślała plan roboty, wiedziała co i gdzie trzeba zrobić. Ona była uosobieniem konspiracji.

A i nietylko robotę kolporterska się zajmowała. Zasypał się jakiś towarzysz — musiał się ukrywać przed policją, jak w dym do Marji — poradź mu! daj mieszkanie! nocleg! jedzenie!

Specjalnością też Paszkowskiej było wydobywanie pieniędzy z rautów, odczytów dochodowych, zabaw i t. p. i t. p.

I aż po 1906 rok tak pracowała w Warszawie, tylko 3 miesiące przez ten czas przesiedziała w więzieniu — tak dzielnie potrafiła się konspirować.

Współcześni opowiadają, jak ta zawsze prosto niezwykle ubrana kobieta, w bluzce zawsze pod samą szyję podpiętej potrafiła się „umałpić" — tak mówiła o swojem przebieraniu się, jak potrafiła zniknąć, gdzieś.... że szukaj wiatru w polu.

Niebywała umiejętność zadzierzgania węzłów przyjaźni z ludźmi doprowadziła do tego, że każdy z bardziej znanych ówczesnych działaczy pepesowskich, po osadzeniu go w więzieniu, w cytadeli mógł sie spodziewać u siebie napewno w celi wizyty intendenta X Pawilonu Rosjanina Siedielnikowa, który przynosił więźniowi pozdrowienia od „gaspaży" Paszkowskiej— pani Paszkowskiej. Otóż towarzyszka Marja zdołała w czasie swojego trzymiesięcznego pobytu w Cytadeli wybadać, że Siedielnikow to porządny człowiek, że ma żonę Polkę i, że to można wykorzystać, no i wykorzystywała, stale ułatwiając uwięzionym towarzyszom ciężki żywot.

W wielu wypadkach ona była twórczynią planów wykradzenia więźniów — czem znów pomocna jej była zręczność towarzyska.

Gdy jest skompromitowana policyjnie, to znaczy ostatecznie już przez policję wytropiona, wyjeżdża do Krakowa i tam nadal prowadzi swoją robotę.

Umarła już jako urzędniczka w Polsce niepodległej w 1926 roku.

„W jej martwe dłonie złożyłam kwiat lilji, kwiat czysty i mocny, tak mocny i czysty, jaką Ona była" — pisze jedna z jej bliższych współpracownic.

Oszczędność czasu i zdrowia

Praca w gospodarstwie domowem należy do najniewdzięczniejszych. Nie ma dla niej zrozumienia ani uznania u mężczyzn, chociaż „babska robota" niszczy nerwy i rabuje dużo czasu.

Przysłowiowa nędza mieszkaniowa w Polsce nie pozwala na przeprowadzenie zmian, któreby odciążyły kobiety. Racjonalne budownictwo jak narzykład „Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej", przez centralne ogrzewanie, gaz, elektryczność, pralnie mechaniczne, przedszkola ułatwiają pracę i pozwalają kobietom zajmować się sprawami publicznemi, bo mają więcej czasu i nie są już niewolnicami gospodarstwa domowego.

Racjonalne urządzenie mieszkania meblami prostemi, przystosowanemi do istotnych potrzeb, bez zbytecznej „parady", to także duży postęp.

W nowych domach kuchnie są tak urządzone, że kredenc, stół należą do mieszkania.

Wszystkie stołki schowane, ściany nie są obwieszone garnuszkami i innemi zakurzonemi zawsze drobiazgami.

I w pokojach szafy są przeważnie wmurowane w ściany, często i kredens należy do spółdzielni.

Duże okna dają światło odpowiednie. Chociaż mieszkanka są przeważnie małe, ale racjonalnie urządzone, sprawiają dobre wrażenie i ludzie czują się inaczej, niż w domach czynszowych, pełnych robactwa, wilgoci, ciemnawych, z dymiącemi piecami, bez wodociągów, kanalizacji, z rynsztokami, cuchnącemi, zamiast pięknych dziedzińców, pełnych zieleni i kwiatów.

Gospodarstwo domowe musi być uproszczone, trzeba zerwać z przestarzałemi przesądami. Zainteresowanie kobiet sprawami publicznemi, zagadnieniami politycznemi otworzy im oczy i dopiero zrozumieją jaka dzieje im się krzywda.

W okresie ogromnych zdobyczy technicznych te wszystkie wynalazki nie mają żadnego zastosowania.

Kuchnia lub żelazko gazowe czy elektryczne, maszyny do prania, do gotowania w parze, znaleźć można w domach ludzi zamożnych. Dlatego robotnicy nie mają pracy, bo tylko bogaci ludzie kupują te wszystkie „cuda", a miljony żyją na najniższym poziomie.

Właśnie kobiety płacą zdrowiem i czasem za brak zrozumienia istotnych przyczyn ich zależności i niedoli.

TESTAMENT

Kiedyśmy wyszli w bój o chleb i o wolność,
mrok był przed nami i za nami mrok.
kroki nam w ziemię grzęzły, boleśnie i wolno,
kajdany dzwoniły co krok.
Dzwonami kajdan w ciszy biliśmy na alarm,
w pierwszych szeregach ginąc.
Nasz jest świt, co się dzisiaj nad światem zapala,
jak pożar nad pustynią.
Nasz jest krzyk, który dzisiaj z piersi stu miljonów
wystrzela w przyszłość.
Pierwsze rdzawe ogniwo u złotego tronu
nam w rękach prysło.
Nikt nie zna imion naszych, zagubionych w walce —
Usta mamy milczące —
Nakarmi nam je ziemia cmentarnym zakalcem,
Kości wybieli słońce.
Nie chcemy sławy od was. Precz marmur i wieńce!
My i za grobem żywi!
Niech przejdzie nam przez piersi dużo, jak najwięcej
stóp śmiałych i szczęśliwych.
Niech się żadna godzina nadarmo nie straci
naszej służby czerwonej.
Waszym młotem i sierpem dniówki naszej pracy
hojnie są policzone.
Niech ziemię jak chleb, orną, chłop i robotnik kroi
Śmiechem, jak nożem.
Chcemy wam na tej ziemi, co się w zieleń stroi,
wyrosnąć zbożem.

Edward Szymański.

NA SZEROKIM ŚWIECIE

Szwajcarja. Na 1 miljon 431 tysięcy 800 dorosłych kobiet, pracowało zarobkowo w r. 1930 — 675 tysięcy. Według prasy szwajcarskiej wzrosła liczba kobiet utrzymujących siebie i rodziny z własnej pracy.

W Szwajcarji, jak wiadomo, kobiety nie mają prawa wyborczego. Najstarsza republika nie zdobyła się na czyn w całem tego słowa znaczeniu demokratyczny, zrównania kobiet z mężczyznami.

We Włoszech faszystowski rząd Mussoliniego urządził zbiórkę złota. Wezwano kobiety do składania ślubnych pierścionków. Królowa, księżniczki i wszystkie panie z arystokracji i burżuazji dla przykładu oddały pierścionki ojczyźnie. Wszystkie kobiety z ludu, zachęcone tem, rzuciły do urn pierścionki.

Piaski Abisynji użyźnia krew włoskich żołnierzy. Giną tysiące, ranami okryci wrócą inwalidzi, bo taka wola dyktatora.

Dyktatura faszyzmu to głód i śmierć miljonów.

Anglja. Dr. H. R. L. Sheppard, kanonik katedry św. Pawła w Londynie, ogłosił bezkompromisową deklarację przeciw wojnie. Treść jej jest prosta i jasna:

„Wyrzekam się wojny i nigdy bezpośrednio ani pośrednio nie będę brał udziału lub popierał jakiejkolwiek wojny".

Deklaracja ta skierowana jest do wszystkich mężczyzn w Anglji. Dr. Sheppard otrzymał już pod nią dziesiątki tysięcy podpisów, przyczem zwraca uwagę duży odsetek podpisów robotniczych.

Szczęśliwy kraj. Rząd meksykański zredukował swój budżet wojskowy do tego stopnia, że tysiąc pięćset robotników zatrudnionych w arsenałach miało stracić pracę. Pragnąc temu zaradzić, rząd postanowił zamienić państwową fabrykę broni w fabrykę maszyn rolniczych. Przeznaczono 50 tys. dolarów na ten cel i robotnicy zajęli się fabrykacją pługów, które będą rozdzielone bezpłatnie między rolników.

W Czechosłowacji generalny dyrektor banku narodowego zaproponował rządowi zwolnienie wszystkich zamężnych kobiet, obcokrajowców i starszych pracowników.

Przeciwko temu zamachowi podniosły organizacje ostry protest.

W Japonji rząd przygotowuje projekt ustawy, nakazujący zamknięcie wszystkich domów publicznych. Spodziewać się należy, że w okresie kilku najbliższych lat znikną w Japonji dzielnice, w których mieszkały kobiety, zarabiające prostytucją.

W Portoriko kobieta jest naczelniczką głównego urzędu celnego. Urzędnicy i pracownicy dziewięciu portów podlegają temu urzędowi.

Nasze listy

Brak uświadomienia powodem niezgody

odpowiedź towarzyszce J. K. autorce artykułu *„Mąż nie winien"*.

W „Głosie Kobiet" z dnia 5 stycznia b. r. str. 7 w artykule „Mąż nie winien" charakteryzuje tow. J. K.— autorka artykułu przyczyny niezgody małżeńskiej, przypisując w całości winę kobiecie, jednak twierdzenie to jest nieuzasadnione, gdyż oparte jest na obserwacji jednego małżeństwa.

Uważam, że wszystkie niesnaski domowe pochodzą li tylko z winy mężczyzn. Twierdzenie moje opieram na kilkoletniem obserwowaniu moich kolegów na *„nieszczęście"* już żonatych, i śmiem twierdzić, że rozprzężenie domowe, a co gorsza, spychanie kobiet w bagno, dokonywane jest przez mężczyzn, którzy mienią się być mądrzejszymi, a tem samem panami życia.

Nie żona męża ma uświadamiać, gdyż zawsze z jego strony spotka się z docinkami, często nawet dla niej bolesnemi, lecz mąż winien jej wskazać prawdziwą drogę, dać jej do rąk w wolnych chwilach prasę socjalistyczną, lekturę omawiającą zagadnienia społeczne, dać jej możność uczęszczania na zebrania, zaś sam wolne chwile spędzać nie w knajpie przy kieliszku „czystej", lecz w domu. Żona napewno w stu procentach wywdzięczy się swemu mężowi, gdy dzięki jego zrozumieniu, zdobędzie wiedzę, a tem samem oceni jego poglądy, idąc wspólnie w zgodzie przez życie.

Mężczyzna, wstępujący w związek małżeński bez głębszego zrozumienia przyszłych obowiązków, chociażby miał towarzyszkę życia o najlepszym charakterze, zmarnuje całe życie rodziny. Mąż, któremu brak uświadomienia, brak zrozumienia, że żona tworząca z nim wspólną rodzinę ma te same co on, a może i większe prawa, przekonany o swojej wyższości, czyni z żony niewolnicę swych kaprysów, w stanie trzeźwym i nietrzeźwym, żeby okazać wobec swych kolegów nieuświadomionych, — lecz wiernych zasadom znęcania się nad żoną — po przepiciu ciężko zapracowanych pieniędzy, — że on jest „głową" i tak musi być jak on chce, czemu oczywiście koledzy przyklaskują.

Mylnem zdaje się być mniemanie tow. J. K. że winy nie można składać na barki męża.

Nie przeczę, że są kobiety lekko traktujące życie, które męża mają „za ubezpieczenie od wypadków", lecz ileż kobiet mamy, których mężczyzna nieuświadomiony społecznie nigdy nie zrozumie, chociażby one ze swej strony ponosiły wielkie ofiary.

Mężczyzna zaznaczający przy kieliszku swoje „ja" mimo skromnego zarobku, zmniejsza swój już i tak okrojony budżet. Idzie z kolegami, którzy go uznają gdy ma pieniądze,— „wypić z biedy", a gdy po przepiciu niema w domu grosza, wtenczas złość, wyzwiska a często.... smutne zakończenie... bo żona jest winna że nie ma co jeść, że źle gospodarzy, że on wpada w długi.

Dobre chęci ze strony kobiety-żony tu nie pomogą, o ile sami nie damy żonom tego, czego od nich żądamy.

Porzućmy lektury lekkie, banalne czy kryminalne, zastępując je lekturą socjalistyczną, którą i naszym żonom zalecimy, a wolne chwile spędzimy na pogawędkach, to i życie stanie się jaśniejsze, piękniejsze, nie takie szare, jak przeżywa małżeństwo niezgodne. Żona napewno z większą miłością zwróci się do męża i niejeden smutek z jego czoła spędzi, lecz warunkiem do tego jest: by mąż był uświadomiony i unikał zgubnego towarzystwa.

Ziutek.
(Jaworzno)

Żona—własnością męża?

Rodzina w dawnej postaci właściwie już nie istnieje.

Kapitalizm wyprowadził kobiety z ciasnych ram domowych, postawił je przy warsztatach pracy zarobkowej. To był początek wyzwolenia kobiet z ciężkiej niewoli i zależności od męża, ojca, brata.

Rozumie się, że zupełna niezależność kobiety jest trudna do osiągnięcia, ale śmieszne jest stanowisko mężczyzn, którzy jeszcze nie chcą pogodzić się z faktem, iż dawne dobre czasy nie wrócą, kiedy kobieta była dodatkiem do mężczyzny, przekonana o swojej niższości, niezdolna do decyzji, szukająca zawsze opieki.

Pracuję zarobkowo już 10 lat. Cztery lata jestem zamężna, mam dziecko i muszę starać się, żeby i w domu był porządek, dziecku zapewnić opiekę.

Przyzwyczajona byłam do samodzielności i dawałam sobie doskonale radę i w pracy zarobkowej i w życiu prywatnem.

Po zamążpójściu mój los się nie poprawił, bo mąż mój zarabia tylko dorywczo, ale chce być panem domu a ja mam być posłuszną wykonawczynią jego woli.

Tu jest źródło nieporozumień nie z mojej winy, bo kochałam mojego męża i miałam najlepszą wolę, żeby przejść z nim przez życie w zgodzie, pomagając sobie wzajemnie.

Mam na tyle świadomości, że nie przypisuję całej winy mężowi. Tak go wychowali, tak jest u wielu członków rodziny i różnych znajomych.

A ja chciałabym, żeby właśnie u nas było inaczej. Nie chcę i nie będę własnością męża, pragnę widzieć w nim przyjaciela, być równa z równym. Nie dlatego, że zarabiam więcej i właściwie ja utrzymuję rodzinę, bo nie jest jego winą, że nie może znaleźć dobrego zarobku. Chcę mieć inne stanowisko, bo jestem świadomym człowiekiem, wychowanym w różnych organizacjach i nie mogę się zgodzić na degradację.

Poruszam tę sprawę na łamach „Głosu Kobiet", którego jestem długoletnią czytelniczką, bo wiem, że w wielu małżeństwach takie pojęcie mężów powodują nieporozumienia i kończą się ostatecznie nawet rozwodami.

Muszę dodać, że mąż mój nie jest ani pijakiem, ani karciarzem i, gdyby chciał trochę zmienić swe zapatrywania, moglibyśmy żyć dobrze.

Stare czasy niewoli kobiet w małżeństwie nie ostaną się, bo czas i postęp robią jednak swoje.

Ludwika M.

Każdy swoje

CZY MĄŻ POWINIEN WYDZIELAĆ ŻONIE KAŻDY GROSZ i mieszać się na każdym kroku do gospodarstwa domowego, zapytuje nas w liście, skierowanym do redakcji, pewna niewiasta, która prosi o nieujawnianie jej nazwiska, gdyż boi się z tego powodu przykrości ze strony szanownego małżonka. Dobrze. Zastosujemy się do tej prośby, ale sami jesteśmy w strachu, że wzbudzimy w ten sposób waśń w większej ilości rodzin, gdyż więcej mężów, niż ten jeden określony, poczuje się dotkniętymi poruszaną tutaj sprawą.

Oddawna już ustalił się podział pracy — mniejsza o to czy we właściwy sposób — między mężczyzną a kobietą. W warunkach, gdy mąż pracuje zarobkowo, a żona zajmuje się domem — oczywiście, że ona, a nie kto inny, musi kłopotać się o zakupy żywności, ubrania, płacenie rachunków za światło, opał i t. p. To też bardzo niewłaściwie postępuje mąż, który naraza żonę na ustawiczne wypraszanie od niego pieniędzy na codzienne wydatki.

Któż może lepiej wiedzieć, niż kobieta, zajmująca się gospodarstwem, gdzie i kiedy zakupić kartofle na zimę, skorzystać z okazyjnej wyprzedaży materjałów i t. p. Nie należy też stawiać jej w takiej sytuacji, żeby z chwilą zjawienia się inkasenta za gaz czy elektryczność biec musiała do sąsiadów po pożyczkę, bo męża - kasjera niema w domu.

Czegóż zresztą dowodzi takie wydzielanie żonie pieniędzy? Albo, że się ją uważa za złą gospodynię, albo że się jej poprostu nie ufa. Wreszcie podobne stawianie sprawy poniża kobietę w jej własnych oczach, pomijając już złośliwe uśmieszki krewnych czy sąsiadów, na co się niewątpliwie naraża.

O ile nasza czytelniczka skarży się dość pobłażliwie na męża, opowiadając o tem, jak to musi wypraszać od niego pieniądze, a potem spowiadać się z codziennych zakupów, to opisując, jak mąż usiłuje wprowadzać ciągle zmiany do ustalonego przez nią porządku domowego — pozwala sobie na pośmianie się z tego męskiego wścibstwa.

Istotnie — przecież wydałoby się każdemu czemś śmiesznem, żeby np. lekarz uczył motorniczego, jak ma się obchodzić z maszyną, albo gdyby wiejski gospodarz krytykował pracę telegrafisty. Kobieta, zajmująca się domowem gospodarstwem, jest tak samo specjalistką w swoim rodzaju, takie kwestje, jak ilość zużytego do prania mydła, czy miejsce przechowywania szczotek należy wyłącznie do jej kompetencji.

Bardzo przepraszamy nieznajomego męża naszej szczerej czytelniczki za mieszanie się do domowych spraw. Poruszamy je publicznie, w przeświadczeniu, że jest to powód do nieporozumień w wielu innych rodzinach.

Wita.

Uparty wróg
domowego ogniska

Najsamprzód mała historyjka:

Pownemu podróżnemu wypadł nocleg w małem miasteczku, gdzie był tylko jeden brudny hotelik. Ale nie było rady, zajął więc stancję i poszedł spać. Na drugi dzień przy rachunku pyta właściciel hoteliku:

— No, jakże się panu spało?

— Wie pan, ja to jeszcze spałem jako tako, ale biedne pluskwy przez całą noc ani oka nie zmrużyły.

To jeszcze pół biedy — cóż przemęczył się biedak jedną noc, tem lepiej spał zapewne następnej w czystem własnem mieszkaniu. Ale jeżeli i tam są pluskwy? Nie pozostaje wówczas nieszczęśnikowi nic innego jak uciec z domu, powiesić się lub też... Właśnie posłuchajcie.

Pluskwy istotnie są najtwardszemi chyba stworzeniami w świecie, najtrudniejszem do wytępienia plugastwem. Można naprzykład wyrzucić zapluskwione łóżko na trzaskający mróz na 24, 48, ba nawet na 1000 godzin. I cóż? po tej kuracji chłodowej kochane pluskiewki nabierają jeszcze lepszej werwy i z namiętnym zapałem przystąpią do tuczenia się naszą krwią z chwilą, gdy niebacznie zaczniemy sypiać znowóż na tem zamrożonem łóżku. Możemy próbować zamorzyć je głodem. Ale prędzej nam samym, niż pluskwom, zbraknie cierpliwości. Okazuje się, że nawet po czterech latach najścișlejszego postu pluskwa wyschnie wprawdzie na różowy opłatek, ale z chwilą, gdy się dorwie po tak długim czasie do skóry ludzkiej, kąsa z niesłabioną werwą, nabiera tuszy i rumieńców i znów zmusza nas do klęcia, do bezsennych nocy...

Myślicie, że ulęknie się wrzącej wody? Potrafi ukryć się przed nią do najgłębszej szpary, a jeśli zginie, to zostają jajka i mści się potem to zajadłe stworzenie w swojem drugiem pokoleniu.

Ogień? Owszem, spalcie łóżko, to radykalny sposób, ale bolesny nietylko dla pluskiew, bo i dla właściciela łóżka. Coprawda znam jegomościa, który widząc palące się własne domostwo, uśmiechał się tryumfująco i mruczał: „Ale i one zginą, będę wreszcie spał spokojnie". Oczywiście miał na myśli pluskwy. Trudno jednak być aż takim radykalistą.

Słowem — ani mydłem, ani kropidłem. Nie bój się to utrapienie ani głodu, ani chłodu, ani gorąca. Jest jednak magiczny płyn, który je wytępić potrafi. Mianowicie — **nafta**. Wystarczy dwukrotnie zalać obficie zapluskwione przedmioty: łóżka, obrazy (oczywiście po „lewej" stronie) i t. p. naftą, zatkać nos i... spać spokojnie. I wcale nie trzeba podpalać; zginą z pewnością wraz ze swemi niewyklutemi z jajeczek pociechami. Powiadacie, że naftą brzydko pachnie. A pluskwa?

Nie bójmy się gości

Poniżej podaję przepisy na tanie ciastka. Przyjdzie ktoś w odwiedziny, czy imieniny jakieś wypadną, mamy co podać do stołu. Ciastka, zrobione w domu, są tańsze i przyjemniejsze.

ANYŻKI.

3 jajka, 15 dkg. mąki,
10 dkg. pudru,
½ dkg. anyżku,
trochę sody.

Całe jaja ubić z cukrem, dodać mąkę, anyżek utarty i sodę, wymieszać. Wyciskać placuszki na blachę, piec w średnio ogrzanym piecu 5—10 minut. Koszt: 50 — 60 gr.

CIASTKA SEROWE.

30 dkg. mąki,
20 dkg. sera,
10 dkg. pudru,
1 jajko.

Wyrobić ciasto z mąki, sera i jajka. Robić z wałeczka obwarzanki. Piec w gorącym piecu 5 — 10 minut. Po upieczeniu obsypać pudrem.

Koszt ciastek 50 — 60 gr.

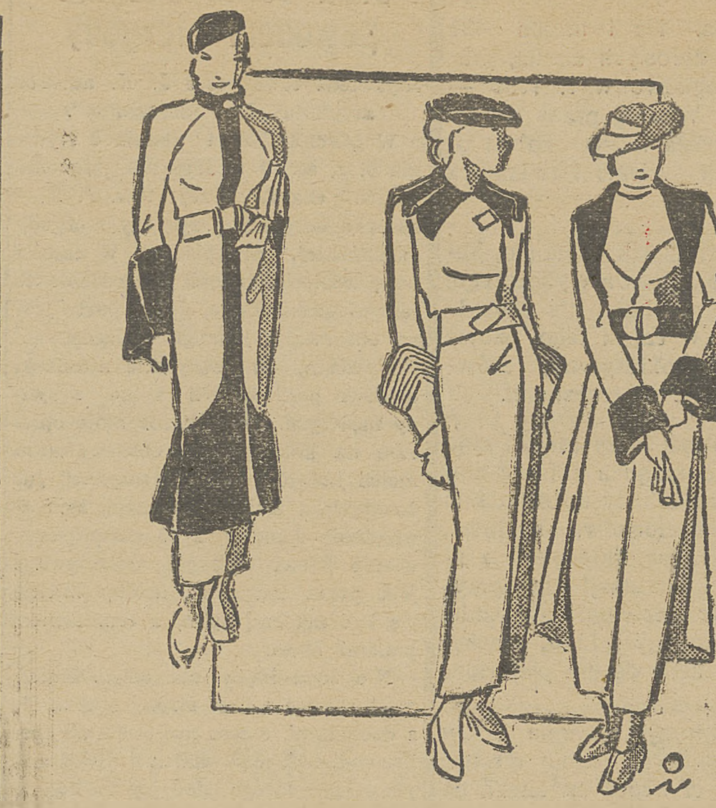
KEKS.

4 — jajka,
15 dkg. cukru,
20 dkg. mąki,
10 rodzynek,
10 dkg. fig,
5 dkg. orzechów lask.,
5 dkg. skórki pomarańcz.,
1 dkg. masła.

Utrzeć żółtka z cukrem, dodać pokrajane w plasterki bakalje.

Pianę ubić osobno, dodawać do żółtek naprzemian z mąką, lekko wymieszać. Włożyć do długiej foremki, wstawić do dobrze ciepłego pieca na 20 — 30 min. Foremkę trzeba uprzednio wysmarować masłem.

Keks kosztuje 1 zł. 65 gr.



Suknia zdobi, ale może zeszpecić człowieka, jeśli jest brzydko zrobiona.

Gdy mówimy o kobiecie, że ubiera się elegancko, to łączymy w tem powiedzeniu aż dwie pochwały: uznajemy, że jest dość odważna w wyborze szczegółów stroju i jednocześnie dostatecznie powściągliwa w swym guście.

Spójrzcie na załączone dzisiaj modele — łączą one właśnie te dwie zasady — trochę „krzyku" i dużo spokoju.

Trzyćwierciowy płaszcz na lewo obramowany jest płaskiem futrem. Dużo tego futra na to trzeba,—to prawda, ale futra bardzo staniały.

Środkowy płaszcz ma b. spokojny rysunek. Cała jego elegancja, że tak powiem, ukryta jest w niskim, tak modnym obecnie kołnierzu (krajany w klosze) i w okrągłych, suto stebnowanych rękawach.

Wreszcie trzeci komplet (na prawo) ma szeroki kołnierz szalowy aż do pasa i szerokie mankiety. Skromną gładką suknię ozdabia ogromnie ten właśnie „krzyk", na który trzeba mieć trochę odwagi: futrzany pasek, spięty dużą klamrą.

Ubierzcie się podług tych rysunków, przecież nie wymagają więcej materjału czy futra, niż nabywane w sklepach, które wypuszczają setki jednakowiuśkich, kropka w kropkę, modeli. Dopiero satysfakcja spotykać co krok swe sobowtóry ubraniowe!

W zimie wołają nas góry

Jak należy spędzić urlop, lub czas wolny od pracy — tem zagadnieniem zajmowały się nawet specjalne kongresy, które debatowały o wczasach robotniczych.

Czyż jest coś piękniejszego, niż góry w zimie? Ośnieżone wierzchołki, groźne, dalekie, niedostępne. Ukryte dolinki, ciche, białe, poprzecinane gdzieniegdzie czarną linją skałek.

Lasy, uginające się pod ciężarem śniegu.

Opowiadały dwie robotnice z fabryki towarów dzianych w Łodzi, jak to one wybierały się na obóz zimowy.

A więc najpierw groszowe oszczędności, aby mieć na opłatę, a następnie ekwipunek. To było ciężko. Ale współtowarzyszki pracy znalazły radę. Jedna pożyczyła im butów, druga wiatrówki. A potem to nawet dostawały prezenty, szalik, czapkę, wszystkie interesowały się ich wyjazdem, cała fabryka.

Aż nadszedł wreszcie ten dzień „inny", zapoczątkowujący najradośniejszy okres w życiu: wypad w Tatry!

Weź z nich przykład! S. Kr.

Redakcja i administracja — Warszawa, Warecka 7, tel. 230-52. P. K. O. Nr. 6922. Za dział ogłoszeń redakcja nie przyjmuje odpowiedzialności.
Pod redakcją: Doroty Kłuszyńskiej. Redaktor odpowiedzialny: Apolonja Rybakowa. Wydawca: Centralny Wydział Kobiecy Pol. Partji Socjalistycz.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Odbito w drukarni „Robotnika", Warecka 7.